

Z borów, Worochty

(wspomnienie)

skreślił

Władysław Spausta.

Bardzo wiele pięknych i pouczających rzeczy mieliśmy sposobność oglądać na wycieczce, urządzonej podczas zjazdu leśników w Nadwornie, do lasów i leśnych zakładów przemysłowych tego ogromnego państwa. Dyrekcja tych dóbr w krótkim bardzo czasie zaznaczyła na każdym miejscu dodatnią swą działalność. Ledwo dotknąć mogła swą ręką olbrzymich obszarów falanga ludzi zawodu, a już uwidaczniają się błogosławieństwa umiejętnej i rozumnej pracy — radujcie się piękne nasze góry — po burzliwej przeszłości, grożącej zniszczeniem lasów — najwybitniejszych bogactw tych okolic, nastąpiła era pokoju, i myślą o przyszłości kierowania ręka zajęła miejsce gorączkowych zamachów na dzieła przyrody. I ileż to dobra spłynie w waszej szlachetnej pracy na te góry? jak wielkie i wdzięczne pole znajdzie tu nauka i wiedza fachowa? Wszystko to, co należy do przyszłości, może jeszcze kiedyś przesunie się przed naszymi oczyma, łaskawi i gościnni gospodarze! wprowadzicie nas jeszcze kiedyś do tego nowego rajy piękna i siły, jaki wytwarza się w lesie przyszłości na silnych podstawach zbratania się człowieka z odwiecznymi prawami natury, — ale, ale borów Worochty — w stanie, w jakim je oglądaliśmy na dniu 3. września 1895 już więcej nie ujrzymy — dlatego myśl ma wracać uparcie do tych uroczych przybytków i snuje Wam, łaskawi czytelnicy, skromną wiązanek wspomnień o tym górskim pierwoborze.

Krótki czas wycieczki, zakreślony zegarem spacerowego pociągu, umożliwił nam li tylko przestąpienie progów tej odwiecznej świątyni, a już te wstępne wrażenia wywołały dreszcze czarodziejskich wpływów — staliśmy bodaj w przodsionku odwiecznej prawdy, gdzie wielki duch natury z każdego zakątka przemawiał językiem tylekroć zapoznawanym przez ludność kulturną. Minawszy uroczy wąwóz pomiędzy górami Rebrowaczem i Magurą, odsłania się dolina Worochty — mówię dolina, bo taką jest dla oka — w rzeczywistości płaskowyż, powyż 800 metr. wzniesiony ponad poziom morza. Kulisy czarownej panoramy

gór gdzieś uciekły daleko — zdala rysują się tylko grzbiety gór poważniejszych — skryły się dla oka szczyty niedalekiej Czarnohory, pod które sięgają bory Worochny, wznosząc się zwolna aż do granicy wegetacyjnej lasów — od południowego zachodu dycha lekki powiew, przemykając się ponad grzbiety Beskidów od błogosławionych krain Arpada.

Idziemy teraz po lewym brzegu Prutu — minąwszy ogromne obszary pastwisk, zarośli jałowcowych, rozpoczyna się nieznanymi początki bór, a czem dalej, tem więcej drzew, wreszcie ogarniają nas cienie puszczy. Zatrzymał się zacny nasz przewodnik — naczelny gospodarz tych obszarów — i rozwijał szeroki pas kalki. Była to mapa obszarów leśnych, leżących przed nami. Posługując się planem na mapie, a tłumacząc lakonicznymi wyrazami znaczenie linii, kresek i cyfer na mapie, rozwinał nam szkic pionierskich zamiarów zaprowadzenia kulturnego ładu w tych pierwoborach — chwilami wznosił głowę ku górze, wzrok latał po szczytach drzew — chwiała się broda kozicy na jego kapeluszu, a wtenczas, przyznając się, opuszczała i mnie trzeźwa przytomność, błądziłem za jego wzrokiem po częściach puszczy — zapominałem o znakach i cyfrach na mapie i wsłuchiwałem się w ciche szmery boru z kądem, niby pieśń łabędzia, zdawała się brzmieć sentencja wielkiego Humboldta. Świat jest: doskonałością — byt: uszczęśliwieniem, gdzie się człowiek nie wcisnął z swoim udęczeniem.

Leccz cóż to za obraz czarował nas owym widokiem? Czyż może ogromy wegetacji otaczały nas dokoła? Co najmniej — przesuwają się tam rozmaitego, po większej części średniego wieku drzewostany, a wśród tej zwartej armji milionów podnoszą z rzadka dumne swe wierzchołki imponujące wielkością pojedyncze drzewa.

Niema ponoś bardziej niespodziewanego widoku, jak bór w stanie natury dla wyobraźni, podsycanej całe życie mniej prawdziwemi opisaniami pierwotnych puszczy. Skrzydlata myśl, pozorną prowadzona loiką, wytwarza plastyczną wielkość, matuzalowe lata wkłada na barki drzew — urągają one wszystkim możliwym żywiołom długie wieki, a gdy padają, to ziemia się trzęsie — a padają chyba pod nielitościwym dotknięciem zęba czasu. W rzeczywistości nieco inaczej się dzieje w tem bezstronnem państwie konieczności prawideł — tam wszystko równomierne do bytu podąża — małej garstce olbrzymów uda się przetrwać aż do zgrzybiałej starości, bo reszta, wśród praw, nieznanających ni względów ni protekcji, musi się wciągnąć w sferę

ogólnej harmonji i ustąpić przed czasem z areny życiowej. A wrażenie ztąd podniosłe, jak podniosłemi są odwieczne prawa natury — i to, co w kulturnych stosunkach niepokiesny przedstawiałoby widok, to jest wspaniałem w tym Panteonie niezakłóconym, na który padł jasny promień z oczu przyrodnika. Szczęśliwi! którzy mają otwarte oczy —, a czułe serce na wdzięki natury — nieupadną pod zgubnymi ciosami strasznej choroby naszego wieku, niezgniecie ich pesymizmu hydra — a stanąwszy na najwyższym szczeblu, z kąd cały świat przedstawia się jako przedziwnej harmonji panorama, o bardzo a bardzo dalekich widokach — potrafią odzwierciedlić w własnej duszy rozkoszny obraz świętych jej zagadek.

Burzliwe nieco przejścia, w jakich się znalazły i te odległe puszcze przed 27 laty, gdy przeszły na własność spekulacyjnej spółki, wycisnęły smutne na nich piętno. Wtenczas to gorączka zastąpiła trzeźwy zmysł kupca, łoskot siekier rozległ się po borach, a w szczególności po pobrzeżu Prutu, padły najokazalsze świerki i jodły, w nadzieji, że uda się ujarzmić dzikie wody strumienia i zmusić do dźwigania kłód w świat daleki — ale niezniosł jarzma niewoli dziki synek Czarnohory — popłynęły wartkie jego wody, ale kłody, poturbowane i porozbijane, niedoszły miejsca swego przeznaczenia; leżą jeszcze tu i owdzie po brzegach — gnijące świadki zamachów ręki ludzkiej. To też pewne partje lasu, przez które postępujemy, straciły trochę ze swego pierwotnego charakteru, w zastępach starych drzewostanów wytworzyły się gdzieniegdzie uderzające w oko luki, ale dopełniwszy utworem imaginacji te braki — mamy przed sobą bór pierwotny. Zadziwiłbyś się wielce południa mieszkańcze, gdybyś spojrział na tę garstkę wąsatych Sarmatów, owianych poważnym nastrojem wśród dzieł swej rodzinnej przyrody. Tam nie wiotkie kibicie lauru, pełne rozkosznego wdzięku i miękkości, nie listki mirtów o dziewiczym połysku, ani gałązki drzewa pokoju przemawiają do naszej duszy, tam miliony prostych pni strzela ku niebu, kąpie swe wierzchołki w chmurnych odparach, ciemne korony w chińskich łukach roztaczają się nad głowami — byle wyżej — wyżej — bo ustanie w tej zaciętej w górę gonitwie to śmierć przedwczesna — śmierć na polu walki bytowej — o promień słońca — o kryształ ożywczej rosy. Śmierć zduszonych to nowe zapasy dla pozostałych — ciała ich to niby szkółkowe grzędy dla nowych pokoleń. Wśród tej walki rówieśników, wy-

magają strasznych ofiar — (krocie poległych w rozmaitych kierunkach dają o tem niejakię pojęcie) stoją, jak niewzruszone kolumny stare drzewa, kora na nich szarawa, popryskana u świerku, jak u olchy na dołach, płytkie, ale silne fundamenty zapuściły w kamieniste łono, a długą brodą siwo zielonych porostów igrają w powietrzu. To prawdziwi olbrzymi — to bohaterzy, wykołysłani w kurczach walki współzawodniczej — minęły już dla nich groźne chwile — wszystko czarne należy już do wspomnień — uśmiecha się im terazniejszych woni kielich życia, muskają naprzemian zefiry, to znów boreasze wygrywają w ich igliwiu harfiarskie melodje puszczy. Wzrosli na laurach młodości zwycięskiej, śmiałym wzrokiem spoglądają choćby w mroczną przyszłość, A bo taką jest ona, i niepewne jutro, mnóstwo złej wieści posłów przebiegać zaczyna dzikie te ustronia: po nad brzegiem Prutu wytrasowano już kolej wązkotorową, tam dalej po wiaduktach i olbrzymich mostach dudnią i świszczą parowozy — w nocy czerwonych ócz para przelatuje z hukiem ponad niedawne jeszcze przepaście tych grodów natury, i coraz częściej zjawiają się w tych stronach nowi goście — cholernicy, jak lud tutejszy nazywa wszystkich przybyszów od czasu zawleczenia w te strony cholery przez robotników, zajętych przy budowlu kolei.

Ale cyt — coś tam puka w borze, o kilkadziesiąt kroków od naszej ścieżki — sterczy tam szturpak kilkumetrowy z pośród łomów i korzeni — padł tam przed laty świerk metrowej średnicy — złom objęty kobierce mchów i otuliły, jak dziecko w pieluchach, a na szturpaku stojącym, wolnym od tych pieluch, liczne i głębokie dziury. To praca czarnego dziędzioła — podważyłem kawał rozluźnionej kory — a tam całe państwo robaka śmierci rozlegało się w nadobnie rzeźbionych krużgankach. Odleciał ptak spłoszony — kilka przeraźliwych wydał głosów i utonął gdzieś w dalszych partjach, z kąd po chwili odezwało się znów głucho stukanie.

Piękny to rewir dla skrzydlatego łowcy ten las w stanie natury, gdzie niezliczone drzew powały, w rozmaitych stadjach rozkładu, przygotowują tak wdzięczny teren dla rozmnoży strasznej sześcionogiej zwierzyny, która widocznie w tych ustroniach na dobrze się rozgospodarowała, prowadząc w swój sposób dzieło zniszczenia. Kilku z towarzyszy, widząc, że się tak skrupulatnie zajmują oględzinami opisanego szturpaka, podąża ku mnie wśród

labiryntów leżących pni korzeni, wśród których różnoletni strzela nalot. Niełatwa to jednak peregrynacja dla nieoswojonych z takim terenem nóg — bo, tam na ziemi, gdzie dla oka ścielą się powabne miękkie kobierce — tam raptem zapada noga głęboko w pień spróchniały — a i na tem nie koniec, bo w głębi trafia na otwór — to negatywna forma jakiegoś dawno już upadłego antenata — gdzie indziej znów leży kupa głazów, a z pośrodku, jak bukiet, wyrasta rzesista kita mchów i widłaków — zakrywając do złudzenia, zdradny otwór, jaki tam powstał po wybutwieniu pnia i korzenia. Dlatego ostrożnie, jak koń huculski, posuwający się po tym niepewnym terenie — po tym odwiecznym cmentarzysku drzew, z którego tylko małą cząsteczkę widzi oko, a reszta skryła się w tem ukrytem laboratorium, gdzie życie z śmiercią w jeden nierozzerwany łączą się łańcuch. Ledwo upadł pień wyniosły, już się na nim sadowią Pygmejów miliony — znów tryska małymi początki nowy źródło życia i wyłania się in minimis maximus deus, ścieląc tyle miłe dla oka zielone kobierce nadziei. Im głębiej postępuje rozkład ciała, tem też i okazańsze pokazują się kształty, łagodzą swą barwą i wejściem elegijne wrażenie cmentarzyska olbrzymów. Wreszcie w miękkich poduszkach sadowi się nowa generacja upadłych; literalnie z popiołów wznosi się nowy feniks i dąży śmiało ku niebu, aby znów kiedyś, gdy wybije godzina, dojść tam, dokąd wszystko zmierza — gdzie i kwiat róży i laur bohatera w głębi wieczności zapadną.

Ale szybko leci czas — pomyka świetlny wóz Apollina, przesyłając ziemi ukośne promienie, lecz myśl powrotu niezaprzęta głowy. Ot szłoby się tak dalej — coraz głębiej, aż do wnętrza puszczy — ciało zmęczenia i śladu nieodezuwa, bo cała uwaga skierowana na precudowny kalejdoskop, jaki się tutaj przesuwają w niezliczonych wąwozikach, przełamach terenu, urwiskach itd. Po przeciwnym brzegu Prutu teren się raptem podnosi, a kilkoma strumykami podmywane wzgórza stroją prześliczny bór. Na krawędzi boru widać także małą chatkę. „To ostatnie mieszkanie człowieka“ powiada nasz przewodnik, wskazując ręką w tę stronę „tam dalej“ i tu skierował ręką ku wschodowi „już ludzie niemieszkają“. Ten ostatni gazda na krawędzi puszczy, w lecie i w zimie okulony w długowłnisty kożuch, to pan samoistny setek morgów połonin i lasów, które swą własnością nazywa, a dożywotnik całego otoczenia, dokąd wzrok sięga. Ciężka

kłatwa Edenu wygnańca nieprzygniata mu czoła — krwawy pot pracy około roli niezagorycza życia — na szerokich stepach połonin rośnie dobytek, gotowe zapasy zbiera kosa i bujne plemię może tu wzrastać na łonie natury, kłócąc na tych kresach państwa człowieka pokój rysiom, niedźwiedzim, wilkom. objawiającym tu w sposób nader dokuczliwy swe prawa bytowe. „Ale niemasz prawego szczęścia na ziemi dla człeka“ i w te, jakby dla fizycznego i moralnego zdrowia stworzone dziedziny, wdarły się już oddawna zabójcze wpływy — dwunogi kornik toczy życionośną miazgę materialnego bytu, a zawleczony gdzieś z dalekiego zgiełku świata zaraźliwy robak boleści upodobał sobie te piękne ciała przyprowadzając je o fizyczną ruinę i szarpiąc etyczną stronę tych dzieci natury. Wrodzona człowiekowi bezgraniczna chciwość zażądała i tutaj w sposób barbarzyński ofiar rodzimej natury. Oto przed laty — a powtarzało się to niezawodnie dosyć często, ludność tutejsza, pragnąc powiększyć obszary połonin, pożogą wyniszczyła całe pasma lasów — padły ofiarą na grzbietach Gorganów drzewostany limbowe — niedawno jeszcze zbierano tam niedopalone kłody szlachetnego drzewa, które niestety, mając już jako nasienie niezliczoną zgraję amatorów, nie w łatwy sposób da się kulturować nasieniem. Barbarzyński czyn ogołocił wysokie gór pasma z ich wspaniałych wianków, oby się przyszłej kulturze tych lasów udała restytucja, oby strzeliły tam w górę znów drzewostany limbowe, wszak w danych warunkach wątpić należy, aby postęp i wiedza mogły się tam oddalić od wskazówek natury.

I mnóstwo jeszcze krzywd i krzywdek, dokonanych lasom przez ludność miejscową, narzuca się oczom w wędrowce po tych borach; jestto nieodłączalny ton w koncercie działaczy przyrodniczych, ton wielkiej doniosłości, bo to działanie żywiołu wywołanego ręką tych gór mieszkańca. Stanęliśmy nad urwistym brzegiem Prutu — pod nami wrzały dzikie jego wody — białe piany mieszały się na seledynowej toni; tam niezawodnie płaśały powabne pstrągi — nastawiwszy czoła silnym prądem pomykającej wody, na przeciwnym brzegu, z gęszczy koron jodeł i świerków wychylały się jaskrawym kontrastem białe ściany piaskowca, którym zapadające słońce przesyłało ostatnie pożegnalne blaski. Rzęsista poczynała spadać rosa — w kobaltowym przezroczu kryły się dalsze partje lasów — nad głowami naszymi grupa olch białych ciemnym liściem mokre chwyta odpary — a od strony polanki, gdzieśmy zostawili resztę naszego towarzystwa, płynęły

rzewne tony trembity — to silną pierśią tubylczego artysty — wydobyta melodia wzywała do powrotu. — „Ach jakże pięknym ten świat“ wyrwało się w różnych warjantach z mnóstwa piersi, a były to najszczersze głosy, bo w tej chwili względnej ciszy przemawiała do duszy każdej odwieczna, bez słów pieśń natury, której każda zwrotka czyni cały świat przyjacielem. Po naszej prawej stronie szeroka rozlega się płaszczyna, a na niej wegetacja, jakby u klimatycznych kresów naszego planety — karłowate olszki białe, siwym obsiadłe porostem na gałązkach, chorobliwego wyglądu rzadkie świerczki, nieco niedokrewnych jodełek, stanowią całe zadrzewienie. Z twardej trasy projektowanej kolei, po której teraz idziemy, grzęzną nogi raptem w miękkiej ale zimnej pierzynie mchów torfowych, widłaków, próchna, a w spodzie zimna woda ogarnia rozpalone ciało — tu i owdzie jakiś wystający wywrót lub korzenia odnoga wieści o wspanialszej niegdyś szacie tego paska ziemi. Coż to za zły Demon wdarł się w te ustronne dziedziny? Niegdyś — szumiały i tutaj zwarte bory — praca wieków gromadziła w tej dolinie żywności zasoby — wreszcie przebrała się miarka, było już zadość zniewieściałym pokoleniom, które nie szukając, jak ich antenaci, mozolnych przejść dla swych korzeni wśród głązów i szutru, w miękkiej warstwie namulisk i próchna wygodny ale gnuśny prowadzili żywot, tracąc odporność i indywidualną życia potęgę.

Sucha epoka rospasania smutno się skończyła, zawyły wichry, goniąc wawozem, a wpadłszy w tę sybarytów społeczność, obfite zebrały żniwo. To nie armia kresowych, miedzianego lica bohaterów, ale zbytkiem w swych podstawach stargana koterja padała solidarnie, zwątpiwszy do reszty o swej przyszłości. I wdzierał się coraz głębiej promień słońca — zastagnowały wody pod okrywą grubego runa, niemając w drzew koronach koryt ujścia, wreszcie na zimnym, tylko dla płazu stworzonym terenie wyrosła karłów społeczność, obsiadły ją roje pasożytów, zagoryczając do reszty żywot anemiczny. Ale to tylko tragiczna chwila w życiu natury — bo tam w głębi ziemi, w tym dziwnych aromatów powietrzu naszych gór rodzinnych tli iskra nowego życia, spią do czasu ukryte zapały — po nie sięgnąć nam teraz rozumną ręką, rozdmuchać gorącym oddechem ukryte zarzewia i na gruzach świetnej przeszłości zbudować gmachy prawdziwie kulturowej przyszłości. Niechaj ta w oczach naszych tragedja nie zniechęca nikogo, niepojęta dla nas w swych dążeniach

przyroda niezliczonymi środkami utrzymuje front organicznego życia, łączy wielkość z małością, nie licząc się z potrzebami człowieka, i ztąd jej dzieła nieprzedstawiają bynajmniej ideału dążeń kulturalnych. Tam się rozgrywają dramaty — które niepowinny wystąpić na scenie kulturalnej przyszłości, tam się rozwiązują zagadki wszechbytu i roztwiera się księga odwiecznych jej prawideł — a matka uczy swą rozpanoszałą dziatwę, zasypuje chaosem olbrzymich środków, których stosowny wybór jest najważniejszym zadaniem przyszłości.

Już przeziera z pomiędzy drzew uroczą Polanka, a w oddalonymi pociąg, mający nas zawieść w dalekie strony. Dzięki wam mili gospodarze — dzięki za prawdziwą biesiadę ducha — a gdy pomyśleliście w tej odludnej puszczy także i o wymogach śmiertelnej powłoki — to w górę szklanki i najserdeczniejsze w świecie Viwat!

W miejscu tem stanie wkrótce tartak, przyjmując na siebie dla pożytku ludzkości, nieco w odmienny sposób, dotychczasową rolę natury — już niebędzie tam gnijących w lesie powalów — błogosławieństwo pracy spłynie i od tych przybytków na głowę narodu — skryje i nas mogiła, może ostatnich świadków pierworobów naszej ziemi — jak dotąd, oświecać będzie skrzętne mrowiska drogiej tej spuścizny to samo słońce, ten sam księżyc i gwiazd mirjady, w kalejdoskopu metamorfoz wiatr przeganiać będzie chmury po błękitach — po jarkich pogodach uderzą nawałnice, strzelą pioruny. aby tylko w tym wiecznym natury kole coraz to rzadziej ściagały ludzi straszne życia znoje, a tem częściej pieściły dobrych dzieł geniusze.

Tatarynów 7. września 1895.